

..... Zapada pełna mistycyzmu cisza. Każde z nas jest w swoim, tak kulturowo odległym świecie.

Trwało to dobrych kilka minut, bo gdy Lerato uniosła się, pierwsze promienie słońca dotknęły ziemi.

Postanawiamy rozbić obóz, spokojnie odpocząć po ostatnich przejściach i zastanowić się, co dalej?

Było nad czym. Podążając inną, bezpieczniejszą trasą nałożyliśmy sporo kilometrów. Z pobieżnych obliczeń wyszło, że pozostało nam jeszcze około trzystu kilometrów. Załamanie. Pokonaliśmy taki szmat drogi, a do celu nadal tak bardzo daleko. Przebyta droga pozostawiła na nas i na naszych ubraniach niezatarty ślad. Wyglądaliśmy jak dwie z horroru wzięte brudne zjawy, w potarganych łachach i wychudzonych twarzach. Nie wyobrażałem sobie, co będzie dalej? Lerato jakoś da sobie radę, a ja? Czułem niepokojący spadek woli przetrwania. Zasypiając przy akompaniamencie nigdy nie milknącego odgłosami zwierząt lasu, marzyłem, aby rano nigdy na nastąpił. Abym się już nigdy nie obudził i wreszcie znalazł tak upragniony spokój. Wspomnienia domu i kochanych istot wydawały się coraz bardziej odległe. Stawały się czymś z pogranicza snu, - wprost nierealne. Rzeczywistość przesłaniała wszystko, liczył się tylko, każdy pokonany kilometr wrogiego, tropikalnego lasu. Cała reszta była absolutnie nieważna.

Musiałem się chyba zdrzemnąć, bo jak oprzytomniałem Lerato nie było. Zerkam, - plecak i inne jej rzeczy są na miejscu. Musiała pewnie pójść za potrzebą. – Pomyślałem. Mijały jednak długie minuty a jej nie było. W głowie zapaliła się czerwona lampka, - coś się stało. Zerwałem się na równe nogi i obszedłem najbliższy teren. Dziewczyny ani śladu. Zaniepokoiłem się nie na żarty. Nigdy nie robiła takich numerów. Musiało stać się coś złego.

Mija godzina, potem druga i zaczynam pomału panikować. Bez tego ducha opiekuńczego jestem absolutnie bez szans na przetrwanie. To koniec, - myślę i siadam zrezygnowany na hamaku. Nie posiedziałem jednak długo. Nagle z przerażeniem stwierdzam, że jakaś siła podnosi mnie i wciąga pomiędzy rozłożyste konary drzewa. Przed oczyma migają mi coraz mniejsze gałęzie i jest coraz widniej. Jeszcze chwilka i ląduję na jakimś podeście w otoczeniu gromadki niewielkich, o brązowym odcieniu skóry ludzików. Odruchowo szczypię się w udo, - zabolalo, więc nie śnię. Rozglądam się i otwieram gębę ze zdumienia. Widzę uśmiechniętą Lerato zajęętą rozmową z jakimś małym człowieczkiem. Uszło ze mnie całe życie i bezwładnie klapnąłem na tyłek. Wystarczyło jednak kilka haustów świeżego, a nie stęchłego z dna lasu powietrza, aby odzyskać siły. Ponoszę się niezgrabnie lustrując uważnie otoczenie. Znajduję się na czymś w rodzaju drogi usytuowanej w pobliżu koron drzew. Ta solidna konstrukcja zbudowana z gałęzi i jakiś innych wysuszonych roślin, niknie gdzieś w oddali niczym wstążka autostrady. Zaczynam coś kojarzyć. Czytałem kiedyś w jakimś czasopiśmie o plemieniu żyjącym w koronach drzew. Czyżby to oni?

Rozmyślanie przerwało pojawienie się naszych rzeczy. Było wszystko, od rzeczy osobistych po broń, którą z odrazą położono obok bagaży. To było niesamowite wrażenie. Stałem tak, ogłupiały i nie zdolny do racjonalnego myślenia, gdy usłyszałem głos dziewczyny.

- Pit, nam bogowie sprzyjać. Trafić na ludzi, którzy nam pomóc. Ojciec polować tu kiedyś i zaprzyjaźnić się z nimi. Potem starać się nauczyć mnie ich języka, Niewiele pamiętać, ale dogadać się, i jako córce ich przyjaciela oni pomóc nam. My być całkowicie bezpieczni.

- Jak ich znalazłaś? Zniknęłaś tak bez zapowiedzi. Bałem się. – Wciąż półprzutomny z wrażenia, wy-

rzuciałem z siebie chaotyczne słowa.

- Pit, ty uspokoić się. Tu być nam dobrze, Ta droga prowadzić nas bardzo daleko. Potem, jak ona skończyć się, to być już bardzo blisko. Ty rozumieć?

- Rozumiem i cieszę się, ale jeszcze chwilę temu myślałem o śmierci, a teraz?

- Niedobrze tak myśleć. Lerato nigdy nie opuścić Pita. Nigdy. Pit o tym pamiętać.

- Wiem i dziękuję. Ale jak ich znalazłaś?

- To oni mnie znaleźć. Bogowie tak kazać. Być tak dziwnie. Ja pójść za potrzebą i trochę pospacerować. Kiedy zobaczyć tych małych ludzi chcieć uciekać, ale oni pytać, czy być Lerato córka starego Lamparta? Tak nazywać mojego ojca. Ja powiedzieć prawdę, a mali ludzie mówić, że Duch Lasu kazać czekać na mnie. I oni czekać. Pit rozumieć coś z tego?

- Nie bardzo, jednak to, co się dzieje zmusza do myślenia. To nie jest przypadek.

- Ja też tak myśleć. Duch Lasu dbać o Pita i jego zadanie. Pit musieć go wykonać.

- Daj spokój, co go mogę obchodzić i jakiś tam Van den Burg?

- To nie być jakiś tam Van den Burg, - wściekła się, - to być nasz bardzo ważny człowiek.

- Wasz, bardzo ważny człowiek? – Zaskoczony, wpatruję się w dziewczynę.

- A tak. To być jeden ze sprawiedliwych białych. Nasz obrońca.

- Zaskakujesz mnie. Nie wiedziałem o tym. Posłuchaj, co mnie czeka jak dojdziemy do celu?

- Dowiedzieć się dopiero tam. Lerato komuś to obiecać.

- Van den Burgowi?

- Pit znowu być jak dziecko. My już musieć iść. – Zmieniła temat nakładając plecak.

Westchnąłem i poszedłem w jej ślady. Po chwili maszerowaliśmy z grupką tubylców niekończącą się wstążką podniebnej drogi. Podziwiałem z jednej strony solidność jej konstrukcji a z drugiej kunszt projektowania. Mimo, że przebiegała ona szczytem drzew, to była prowadzona tak, aby chronić wędrowców przed palącym słońcem tropiku. Co parę kilometrów mijaliśmy zbudowane poniżej, w rozwidleniu konarów grupy stosunkowo dużych chat. Wyglądało to, jak przydrożne motele przeznaczone dla odpoczynku podróżnych. W nich właśnie spędzaliśmy noce i chroniliśmy się przed ulewnymi tropikalnymi deszczami. Po ponad tygodniowej wędrówce nadszedł czas rozstania z naszymi nowymi przyjaciółmi, - dziećmi lasu. Jeszcze krótka, pełna sugestywnej gestykulacji narada Lerato z tubylcami. Na pewno udzielają ostatnich wskazówek na drogę, - domyślałem się. Potem koniec podniebnego spaceru, serdeczne uściski rąk i zanurzamy się ponownie w gąszcz tropikalnego lasu.

Po kilku dniach morderczego marszu, znajdujemy w miarę bezpieczne miejsce w zaroślach, niedaleko bu-
dzącej respekt rzeki. Wprawdzie jesteśmy w owym zaczarowanym kółeczku, ale to koniec dobrych wia-

domości. Jest źle. Bardzo źle. Lerato po spotkaniu z jakimś zwierakiem - poważnie ranna, a rzekę, którą mieliśmy przekroczyć, dokładnie pilnują wojskowe patrole. Niech to szlag... Jest późne popołudnie i siedzę wpatrzony w przechadzających się brzegiem uzbrojonych żołnierzy. Do zielska na brzegu gdzie ma być ukryta łódka, jakieś dwieście metrów. Nocą jest szansa prześlizgnięcia się, ale co potem? Dupa. Zero szans.

- Pit. - Słyszę słaby głos.

- Jak się czujesz? – Głupie pytanie. Widzę rozpaloną twarz i spieczone gorączką wargi.

- Źle. Posłuchać teraz uważnie. W moim plecaku być szczelnie zapakowany pakunek. Wyjąć go i dać do swojego plecaka. To materiały, które Pit przekazać komu trzeba. Van Den Burg odejść kilka dni przed twoim przyjazdem. Ale nim odejść, to kazać Peremu sprawdzić Pita a jak on uznać go za dobrego człowieka, to dać Pitowi te dokumenty. Lerato nie wiedzieć, co w nich być, ale to bardzo ważne. Teraz tak, Lerato czuć, że niedługo odejść do Bogów, a Pit musieć sobie jakoś poradzić. Nie wiedzieć jak? Martwić się, że nie móc dbać o Pita. – Przerwała i coś różowego pojawiło się na jej wargach. Oddychała bardzo ciężko. – Pit dostać się nocą do łódki...

- Daj spokój. – Przerwałem. - Nie umrzesz. Nie pozwolę na to, - zobaczysz. A teraz odpocznij a ja trochę podziałam.

Postanowiłem sprawdzić dany mi kiedyś w Warszawie sprytny aparacik. Jak mówił prawdę, mamy szansę na ratunek. Wyciągnąłem z plecaka zawinięte w wodoodporne zabezpieczenie, podobny do pilota samochodowego aparacik, moją komórkę, oraz po dwa komplety naładowanych jeszcze w Durbanie baterii. Włożyłem baterie do obu urządzeń, - zadziałały. Odetchnąłem. Wziąłem pilota do ręki, i wstrzymując oddech nacisnąłem trzy razy przycisk. W odpowiedzi zapaliło się na moment zielone światelko. Z biciem serca czekałem na odpowiedź. Po długich kilku minutach na urządzeniu zapaliło się na moment czerwone światelko. Myślałem, że zwariuję z radości. Działa... Niech go jasna cholera - działa. Załączyłem komórkę i znowu czekam. Po prawie dziesięciu minutach czuję w niej wibrację, - Zgłaszam się.

- Gdzie to pana diabli zagnali? – Słyszę głos mojego opiekuna.

- Melduję wykonanie zadania. Obiekt nie żyje. Materiały zabezpieczone. Proszę o pomoc. Droga ewakuacji zablokowana. Mój przewodnik w bardzo ciężkim stanie.

- Zrozumiałem. Dzięki za wykonanie zadania. Teraz wyłącz się i czekaj na instrukcje. Za dwie godziny włącz telefon. Ktoś zadzwoni i powie co masz robić.

- Zrozumiałem. Za dwie godziny.

Wyłączyłem telefon i wyjąłem z obu urządzeń baterie. Chciało mi się tańczyć z radości, jednak śmierć mi jeszcze nie pisana. Odwróciłem się do Lerato, - zmartwiałem, - leżała nieruchoma i niekontaktowa. Oddech miała nierówny i spazmatyczny. Nie umieraj dziewczyno, powtarzałem głaszcząc ją po policzku. Pomoc nadejdzie i wszystko będzie dobrze. Nie reagowała. Była gdzieś w swoim świecie. Te dwie godziny wlokły się niemiłosiernie. Dziewczyna słabła z każdą minutą a ja kompletnie bezsilny mogłem tylko patrzeć na jej agonię. W końcu nadszedł czas i załączyłem telefon. Prawie natychmiast zawibrował. Zgłaszam się.

- Mówi pułkownik Johanson. – Słyszę język angielski z amerykańskim akcentem. - Mam pana wyciągnąć z tej pułapki. Proszę teraz uważać co mówię. Przed świtem, około godziny trzeciej zrobimy po pana lewej stronie trochę hałasu. To powinno odciągnąć żołnierzy będących niedaleko pana. Następnie pojawią się trzy śmigłowce. Teraz ważne. Jak usłyszysz pan ich dźwięk, proszę włączyć telefon i trzymać naciśnięty przycisk z literą 8. Muszą pana dokładnie zlokalizować. Zrozumiał pan?

- Zrozumiałem. Włączony telefon i klawisz 8.

- Doskonale. Co z pana przewodnikiem?

- Bardzo źle. Boję się, że nie doczeka.

- Zrozumiałem. Lekarz będzie na pokładzie. Musi wytrzymać tych parę godzin. Nie ma innego wyjścia. Bez odbioru... Zapadła cisza.

Wprawdzie do tej pory byłem na bakier z kościołem, wiarą i modłami, to teraz przypominając z lat dziecięcych rozmaite pacierze, modliłem się gorąco o życie dla tej dzielnej dziewczyny. - Daj jej żyć, nie zabieraj jej jeszcze... Istotnie jak tylko niebo zaróżowiło się, po mojej lewej stronie rozległa się strzelanina. Miał facet rację, - pomyślałem widząc biegnące w kierunku słyszanych strzałów cienie żołnierzy. Po kilku minutach usłyszałem charakterystyczny dźwięk nadlatujących śmigłowców. Wykonawszy nakazane czynności, obserwowałem teren w okół mnie. Trzy ważki najpierw zatoczyły kółko w pobliżu, a potem jedna z nich zaczęła gwałtownie zniżać się, i po chwili w odległości kilkudziesięciu metrów ode mnie wylądowała. Wybiegło z niej i rozbiegło się po terenie kilkunastu żołnierzy. Nie wiem, skąd miałem tyle siły, ale z nieprzytomną, przewieszoną przez ramię Lerato, oraz ciągnąc za sobą oba plecaki, biegłem w kierunku śmigłowca. Naraz poczułem jak jakieś silne ręce biorą mnie pod pachę, znika ciężar dziewczyny i plecaków. Słyszę narastający huk silników - lecimy. Jestem uratowany, - mignęło w głowie, potem jednak wszystko zawirowało przed oczami i zapadłem w ciemność.

ROZDZIAŁ 12

Leniwie otwieram oczy i widzę nachylającą się czarnoskórą, kobiecą twarz w białym kitlu. Rozglądam się półprzytomnym wzrokiem i widzę uśmiechającą się twarz pielęgniarki, która woła coś w niezrozumiałym języku. Mija chwila i w moim polu widzenia pojawia się ogorzała twarz w czapce z dystynkcjami pułkownika armii amerykańskiej.

- Jestem pułkownik Johanson. Miło mi poznać faceta, który przetrwał piekło.

Słyszę rubaszny ton głosu i widzę wyciągniętą w moim kierunku dłoń. Naprawdę chciałem ją uściskać, ale moja ręka zrobiła tylko maleńki ruch i opadła bezwładnie. Zdołałem tylko z wielkim wysiłkiem woli wymamrotać:

- Dzięki za ratunek. Co z dziewczyną?

- To była drobnostka, a dziewczyna będzie żyła. Stan ciężki, ale rokowania obiecujące.
- To bardzo dobrze. Zawdzięczam jej wszystko. Proszę zadbać o nią. – odparłem już żwawszym głosem.
- Oczywiście. Proszę być tego pewnym. Teraz, co do pana. Dzisiaj w nocy poleci pan do Kliniki Chorób Tropikalnych na Hawajach. Czeką tam na pana komitet powitalny i kilkumiesięczna kuracja. Ale to Hawaje, więc będzie miło i rozrywkowo. – Zaśmiał się puszczając do mnie oko.
- Miło słyszeć. – Uśmiechnąłem się krzywo. – Mam jeszcze prośbę, chciałem zadzwonić do domu, i zobaczyć Lerato.
- Jeżeli chodzi o telefon, to nie ja o tym decyduję. Możliwe to będzie raczej dopiero z Hawajów. Natomiast Lerato, - myślę, że tak. Zaraz pogadam z lekarzem. Wiele razem przesłicie. – pokiwał głową ze zrozumieniem. – Porządny z pana facet. No dobra, na mnie czas. Powodzenia. Wychodząc, oddał mi honory wojskowe, a ja pozostałem z niepokojem w sercu. Nie podobał mi się ów tik, jaki po prośbie o telefon do domu przebiegł mu po twarzy. Coś tu nie tak. Do jasnej cholery, chyba w domu wszystko w porządku? Na pewno. – uspokajałem siebie. Co złego mogłoby się im przydarzyć? Panikujesz stary. Gdzieś po godzinie pojawiła się pielęgniarka mówiąc coś, z czego zrozumiałem jedno słowo, Lerato. Pomogła wsiąść do fotela na kółkach i powiozła szpitalnymi korytarzami. Niebawem otworzyły się drzwi i wjechawszy do środka zobaczyłem moją przewodniczkę. Leżała na wysokim łóżku, opleciona jakimiś kablami podłączonymi do popiskującej aparatury. Zobaczywszy mnie, wynędniała twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.
- Pit przyjsć. Lerato cieszyć się bardzo. – Usłyszałem słaby głos.
- Nie mogłem inaczej. Musiałem ciebie zobaczyć i podziękować za wszystko.
- Gdyby nie wiedzieć, że ty Pit, to nie poznać tego szkieletu. Pit być taki biedny.
- To nic, oboje nie wyglądamy kwitnąco, ale niedługo wszystko będzie dobrze.
- Tak, może i być dobrze, ale dla mnie nie być z Pitem, to nie być dobrze. Lerato polubić tego białego, dobrego człowieka. Teraz Pit wyjechać, a Lerato być smutna.
- Tak, dziś w nocy odlatuję gdzieś bardzo daleko. Jest mi bardzo przykro, ale już chyba nigdy nie zobaczymy się.
- Lerato wiedzieć o tym, jak zobaczyć Pita pierwszy raz.
- Ale powiem ci coś, wyjadę, ale nigdy nie zapomnę takiej dzielnej i miłej dziewczyny. Zawsze będziesz w moich myślach.
- Lerato też nigdy nie zapomnieć Pita. Ja chcieć coś powiedzieć, ale wstydzić się. Pit nie śmiać się, ale ja dużo razy chcieć kochać się z Pitem. Ale bać się, że Pit być za to zły.
- Niepotrzebnie. Ja też miałem na to ochotę, ale nie śmiałem zbliżyć się do ciebie.
- Szkoda, ale widać tak musieć być. Teraz Pit, pocałować Lerato na pożegnanie?

- Z wielką przyjemnością.

Podniosłem się z fotela, zrobiłem kilka niepewnych kroków i przysiadłem na krawędzi łóżka. Nasze spojrzenia zatopiły się w sobie, a dłonie splotły w kurczowym uścisku. Nachyliłem się ku poruszającym się bezgłośnie wargom. Moment i nasze usta spotkały się, najpierw na krótką chwilę, a potem już żarłocznie, - mocno. Poczułem drżące dłonie wędrujące po mojej zarośniętej twarzy. Badały ją, jakby chciały jej kształt zapamiętać na zawsze. Wreszcie oderwała się od ust, opadła na poduszki i zamknęła oczy. Po chwili dobiegło mnie cichutkie:

- Pit już iść. Lerato chce być sama.

Dostawszy się na fotel pojechałem do drzwi. Obróciłem się jeszcze raz. Po policzkach dziewczyny spływały ogromne, nieskrywane łzy. Serce mi się ścisnęło. Pierdolone życie. – Zakląłem półgłosem i wyjechałem na korytarz. Wieczorem musieli mi dać jakieś środki nasenne, czy coś w tym rodzaju, bo obudziłem się dopiero na chwilę przed podchodzeniem do lądowania. Nie był to samolot pasażerski. Wnętrze wyglądało na wojskowy transportowiec. Leżałem na polowym łóżku a koło mnie drzemał brodaty facet w mundurze piechoty morskiej. Z za oddzielającej zasłony dobiegał gwar prowadzonych rozmów. No tak pomyślałem, załadowali mnie jako dodatkowy bagaż. Proste i skuteczne. Nigdy mnie tu nie było. Żadnych śladów pobytu. Zamknąłem oczy i zobaczyłem uśmiechniętą, uwodzącą swoim ciałem Pati. Och, jak bardzo chciałem zamknąć ją w ramionach. Przeszły mnie dreszcze.

Zauważył to chyba siedzący obok umundurowany facet, bo odezwał się.

- No, koniec spania. Pobudka. – Roześmiał się dobrodusznie. – Jestem doktor Howard. Miło mi pana poznać. Wyciągnął rękę w moim kierunku.

- Jestem Lorenz. Gdzie już jesteśmy? – Zapytałem oddając uścisk dłoni.

- Wiem kim pan jest, i podziwiam pana. Gdzie jesteśmy? Właśnie za chwilę wylądujemy w Honolulu. Potem pojedziemy do Kliniki, gdzie doprowadzą pana do porządku. Odpręż się człowieku, jesteś bezpieczny i wśród przyjaciół.

- Miło słyszeć. – Odwzajemniłem szeroki uśmiech.

Na dźwięk naszej rozmowy, uchyliła się zasłona i pokazało się kilka uśmiechniętych twarzy. Padły jakieś sympatyczne słowa pod moim adresem, zobaczyłem wyciągnięte kciuki i zrobiło mi się jakoś miękko na sercu. Faktycznie, byłem wśród przyjaciół.

Kilka pierwszych godzin w Klinice spędziłem w charakterze przedmiotu badań i analiz w gronie szacownego konsylium medyków. Na koniec ubrany już w twarzowy, szpitalny garniturek, trafiłem przed oblicze szefa tegoż konsylium. Padło wiele mądrych słów, z których zrozumiałem, że jestem zainfekowany czymś tam, mam w sobie pasożyty, a na skórze wylęgarnię jakiś pajęczaków. W sumie zabrzmiało to dość groźnie, ale dla mnie było wszystko jedno. Marzyłem o ciszy i spokoju. Pragnąłem być sam... Ale to przynajmniej na razie, pozostało tylko w sferze marzeń. Bo jak tylko ulokowano mnie w pojedynczej sali, zjawili się dwóch facetów po cywilnemu. Przedstawili się, nijaki Anderson i Brown agencji CIA. Chwilę przyglądali mi się z zainteresowaniem, a potem po kilku grzecznościowych frazesach, przedstawili swoje oczekiwania. Miałem zdać bardzo szczegółowy raport, czy jak kto woli sprawozdanie z całego okresu trwania zadania. Całość będzie nagrywana i rejestrowana przez stenotypistkę. Nie byłem tym

zaskoczony. W takich przypadkach była to rutynowa czynność. Ale, co innego wiedzieć, a co innego doznać tego na własnej skórze. Z przerwami na sen i odpoczynek, cała ta sesja trwała ze cztery dni. Wycisnęli mnie jak cytrynę, - do ostatniej kropli. Każdy nawet najdrobniejszy szczegół wydawał im się super ważny. No dobra, było minęło, i teraz mogłem pomyśleć o własnych sprawach. Nie zastanawiając się wiele, zagadnąłem napotkanego Andersona o mój telefon, bo chcę pogadać z rodziną. Zaskoczył mnie wyraz jego twarzy. Zbladł i uciekł spojrzeniem gdzieś za okno. Serce mi załomotało. Jednak, coś nie tak z domem. Ten tik u pułkownika nie był przypadkiem. Staliśmy na korytarzu, więc nie patrząc na mnie powiedział:

- Usiądźmy gdzieś, musimy pogadać na spokojnie.
- Nie ma sprawy. Pogadajmy. – Odparłem drewnianym głosem.

Weszliśmy do mojej sali, usiadłem na łóżku i wlepiłem w niego wzrok. Po kilku sekundach zobaczyłem twarde jak stal spojrzenie, i usłyszałem słowa płynące gdzieś z daleka.

- Panie Lorenz, pan już nie ma domu ani rodziny. Przykro mi.
- Jak to, nie mam? – Wyrwało mi się z nagle zmartwiałych ust.
- Dwa tygodnie temu w pana domu wybuchł gaz a potem gwałtowny pożar. Zginęli wszyscy. Strażacy odnaleźli ciała czterech osób. Dwie kobiety, w tym jedna w ciąży, dziewczynka i młody mężczyzna. Dodam, to nie był wypadek. To było celowe działanie. Sprawca już aresztowany.
- Ale to niemożliwe, aby...

Nie dokończyłem zdania. Nagle poczułem straszny ból w piersiach, zobaczyłem czarne plamki przed oczami i zapadłem w nicość.

Ciąg dalszy nastąpi.....

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

grab2105, dodano 28.08.2020 10:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.